

Autor: prof. dr hab. Jadwiga Kiwerska

Rok urzędowania Obamy – bilans dla układu transatlantyckiego

Obejmując najwyższy urząd w państwie 20 stycznia 2009 r. Barack Obama miał wyjątkową sytuację. Pierwszy czarnoskóry prezydent Stanów Zjednoczonych cieszył się sympatią i poparciem nie tylko zdecydowanej większości Amerykanów, ale wzbudzał entuzjazm w całej niemalże Europie. Już to stanowiło ogromny kontrast z atmosferą, jaka osiem lat wcześniej towarzyszyła zmianie gospodarza w Białym Domu. Prezydent George W. Bush, pomijając nawet fakt, że obejmował władzę w scenerii skandalu wywołanego zawirowaniami związanymi z liczeniem głosów wyborczych, wywoływał w Europie więcej niechęci niż sympatii. Konserwatysta, zwolennik kary śmierci, przejawiający dyletantyzm w kwestiach polityki zagranicznej wzbierał zewsząd głównie kpiny i krytykę. Wprawdzie po 11 września 2001 r. Ameryka doświadczyła bezprecedensowych dowodów solidarności i poparcia, zdołała zatem zbudować wielką koalicję antyterrorystyczną, która jednogłośnie zaakceptowała decyzję o ataku na Afganistan. Ale gdy administracja amerykańska wyznaczyła kolejny cel w wojnie z terroryzmem – Irak, a później sformułowała tzw. doktrynę Busha, w której mowa była o uderzeniu prewencyjnym, możliwości działania unilateralnego, opcji siłowej jako ważnej metodzie rozwiązywania problemów, doprowadziła do ogromnych wstrząsów na arenie

Nr 32 / 2009
01'02'10

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-
Badawczy,
Poznań

Redakcja:
Joanna Dobrowolska-Polak
(redaktor naczelna),
Marta Götz,
Piotr Cichocki

międzynarodowej. Dotknęły one w szczególności sposób układu transatlantyckiego, osłabiając relacje między Ameryką a niektórymi jej sojusznikami europejskimi.

Przed Barackiem Obama stanęło zatem – obok wielu innych – także i to zadanie: odbudowa znaczenia układu transatlantyckiego, przywrócenie mu spójności i skuteczności. Zadanie z jednej strony trudne, zwłaszcza gdy zważymy na fakt, że w obecnym świecie, zmierzającym ku wielobiegunowości, sojusz transatlantycki nie jest już niczym oczywistym. Jest raczej świadomym wyborem niż koniecznością. Wzrosło bowiem poczucie autonomii i znaczenia wśród europejskich partnerów. Równocześnie nastąpiło osłabienie rangi i roli Stanów Zjednoczonych w świecie, będące w dużym stopniu efektem kontrowersyjnej polityki administracji Busha.

Jednak z drugiej strony prezydent Obama, postać dość ekscytująca, już na starcie miał w ręku ważne atuty – sympatię znacznej części Europejczyków, ich poczucie ulgi, że Biały Dom opuścił niepopularny Bush. Rosło też przekonanie wśród przywódców europejskich, że relacje transatlantyckie pozostają ważnym czynnikiem bezpieczeństwa i pozycji zarówno USA, jak i Europy na arenie międzynarodowej. Wszystko to pozwalało żywić nadzieję, że uda się wzmocnić układ transatlantycki, nadać mu nowe impulsy i znaczenie. Wiadomo również było, że jakiegokolwiek próby odbudowy i wzmocnienia sojuszu transatlantyckiego zależeć będą w dużym stopniu od działań Stanów Zjednoczonych, jego najsilniejszego elementu.

Czy zatem Barackowi Obamie udało się przez ten ostatni rok przywrócić harmonię w relacjach z Europejczykami, czy zdołał wypełnić nową treścią układ transatlantycki, czy w stolicach europejskich znalazł zrozumienie dla swych oczekiwań i dążeń? I z kolei – czy wśród priorytetów politycznych nowej administracji Europa zajęła zgodną z jej



oczekiwaniami pozycję? Są to ważne pytania, które stawiamy po 12 miesiącach urzędowania 44. prezydenta USA.

Nie ulega wątpliwości, że kluczowe znaczenie dla odbudowy silnych więzi sojuszniczych w ramach NATO będzie miało przywrócenie dobrej atmosfery we wzajemnych relacjach. Dlatego odnotować należy, iż sam prezydent oraz przedstawiciele jego administracji wielokrotnie i przy różnych okazjach podkreślali, że podstawą ich działania będzie multilateralizm jako najskuteczniejsza w obecnej, wielce skomplikowanej rzeczywistości metoda osiągnięcia celów i realizowania zadań. Zmieniono więc styl uprawiania polityki w Waszyngtonie, gdzie przywrócono wagę dyplomacji, zademonstrowano wolę współpracy i wysłuchiwanie racji partnerów. Można było odnieść wrażenie, że pragmatyzm w działaniu i konsultacja zastępują dotychczasową ideologizację polityki i autorytaryzm w podejmowaniu decyzji. Europa mogła poczuć się znowu doceniana, ważna i współodpowiedzialna.

Z dobrym odzewem w stolicach europejskich spotkały się zapowiedzi Obamy zamknięcia więzienia w Guantanamo na Kubie czy większej aktywności na rzecz walki z ociepleniem klimatu. Mówiono o wycofaniu w niedalekiej już przyszłości amerykańskich wojsk z Iraku, większej aktywności na rzecz odbudowy Afganistanu, a wobec wrogów i przeciwników wystąpiono z ofertą rozmów i negocjacji niemalże bez warunków wstępnych. Obserwatorzy oceniali, że Ameryka odbudowuje swoją „soft power”, niekwestionowany atrybut jej prestiżu i znaczenia, wysoko ceniony w Europie Zachodniej.

Tę nową atmosferę w relacjach Ameryki z jej europejskimi sojusznikami dostrzec można było już podczas pierwszej wizyty Obamy w Europie na początku kwietnia 2009 r. Amerykański prezydent traktowany był wówczas jak autentyczny lider Zachodu, obdarzony ogromnym kredytem zaufania, od którego



oczekuje się nowego, silnego impulsu. W efekcie był w stanie wpłynąć na decyzję w sprawie wyboru nowego sekretarza generalnego NATO, gdy to przekonał Turcję do wycofania sprzeciwu wobec kandydatury Andersa Fogha Rasmussena. Kolejne punkty „zarobił” w Pradze, gdy apelował o budowanie świata bez broni atomowej. Jakkolwiek były to hasła wysoce idealistyczne, nie uwzględniające realiów i wyzwań współczesnego świata, to wywarły one ogromne wrażenie. Umocniły wizerunek Obamy jako przywódcy z wizją i wolą zmian. Odpowiadały nastrojom znacznej części europejskiej opinii publicznej, z natury dość pacyfistycznej i wygodnej.

Jednak bez względu na to, jak bardzo przeciętnemu Europejczykowi przypadło do gustu praskie przemówienie Obamy, to należy je uznać za dalekie od realizmu politycznego. Trudno bowiem wyobrazić sobie, aby w dzisiejszej rzeczywistości, różne siły i grupy, nie posiadające zdolności i woli negocjacji, były w stanie wyrzec się śmiercionośnej broni. Pozostają zatem przy opinii, że oferta Obamy miała w sobie więcej czystej retoryki i atrakcyjnego dla wielu idealizmu, obliczonych na spotęgowanie entuzjazmu tłumów (a kilka miesięcy później dała mu pokojową Nagrodę Nobla), niż wyrażała możliwe do zrealizowania plany. Choć – rzecz jasna – nie należy wykluczyć pewnej naiwności nowego gospodarza Białego Domu w tych sprawach.

Zresztą doskonałym tego potwierdzeniem okazała się wkrótce kwestia irańskiego programu nuklearnego. „Najbardziej nieprzyjemne zaskoczenie spotkało ekipę Obamy w sprawie Iranu” – pisze Robert Kagan, wprawdzie konserwatywny w poglądach ekspert, jednak uchodzący za doskonałego znawcę spraw międzynarodowych. Brak odpowiedzi Teheranu na ofertę amerykańską nie zaskoczył tych, którzy przewidywali taki obrót sprawy, ale dla Obamy był przykrym ciosem. Dowodził bowiem



owej naiwności nowej ekipy w Białym Domu. „Większość ludzi Obamy przyszła do rządu z przekonaniem, że głównym problemem był sposób, w jaki George W. Bush prowadził politykę zagraniczną – jeśli się zmieni podejście USA w tej sferze, rozwiązanie znajdzie się samo” – dowodzi dalej Kagan. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej skomplikowana. W rozwiązaniu kwestii irańskiego programu nuklearnego brak było postępu. Co gorsza, sytuacja w Iranie skomplikowała się wskutek oszustw wyborczych i po krwawej rozprawie z opozycją. Wobec tych wydarzeń Waszyngton zachował pewną wstrzemięźliwość, która zaskoczyła nie tylko przeciwników politycznych Obamy, ale nawet niektórych jego zwolenników. Zaś dla społeczności międzynarodowej, w tym europejskiej opinii publicznej powinien to być znak, że działanie na zasadzie „antybushowskiej” nie przesądzi automatycznie o sukcesie.

Odnosząc te fakty do relacji transatlantyckich należy zadać sobie już dzisiaj pytanie, czy polityka czystej dyplomacji, ukazywanie przede wszystkim łagodniejszej twarzy Ameryki jest tym, co rzeczywiście wzmocni nie tylko jej rangę w świecie, ale też skuteczność i znaczenie układu transatlantyckiego. Nie negując znaczenia zmiany wizerunku Stanów Zjednoczonych w świecie – co było niezbędne jako punkt wyjścia, trzeba jednak podkreślić, że od Ameryki, która wprowadziła już rangę hegemonu, ale utrzymała atrybuty supermocarstwa, wymagać należy większej skuteczności, determinacji i odwagi w działaniu.

Potrzeba też wyraźniejszego wypełnienia treścią relacji transatlantyckich. Nie ma wątpliwości, że służyć temu będzie zdynamizowanie Paktu Północnoatlantyckiego, głównego filaru układu transatlantyckiego. Jest prawdą, że Obama zastał NATO w nie najlepszej kondycji. Co prawda w okresie prezydentury Busha przyjęto do Sojuszu nowych członków, w tym trzy były republiki radzieckie. Tym samym NATO osiągnęło to, co jeszcze



kilkanaście lat wydawało się niemożliwe – przekroczyło granice byłego Związku Radzieckiego. Z kolei członkostwo Słowenii oznaczało, że w Sojuszu znalazła się pierwsza z byłych republik Jugosławii, gdzie jeszcze niedawno toczyła się najbardziej krwawa od zakończenia II wojny światowej wojna w Europie. W ten sposób dokonał się kolejny akt w procesie przewycięzania podziałów w Europie i jednoczenia się kontynentu.

Ale to co dla jednych było poszerzaniem strefy stabilizacji i bezpieczeństwa, dla innych oznaczało tworzenie z NATO mniej sprawnej i skutecznej instytucji, w której decyzje zapadają powoli i z trudnością, drogą wyczerpujących negocjacji i konsultacji. Nie wchodząc w polemikę z tymi sądami, należy przyznać, że w erze Busha mieliśmy niewątpliwie do czynienia z czynnikami osłabiającymi Sojusz Północnoatlantycki. Wystarczy wspomnieć o tzw. kryzysie decyzyjnym na początku 2003 r., w związku z planowaną interwencją zbrojną USA w Iraku, a także to, że sama wojna w Iraku stała się przyczyną groźnych podziałów w NATO. Uderzając w marcu 2003 r. na Irak, prezydent Bush nie miał za sobą poparcia Sojuszu (jedynie niektórych jego członków), czyli zupełnie inaczej niż było to w przypadku interwencji w Afganistanie oraz w 1991 r., gdy jego ojca George'a H. W. Busha popierało nie tylko całe NATO, ale i ogromna liczba innych państw, łącznie ze Związkiem Radzieckim, byłymi krajami komunistycznymi oraz światem arabskim.

Co więcej, Amerykanie stracili zdolność forsowania na forum NATO swoich racji. Tak było w kwietniu 2008 r., gdy Bushowi jr. – wobec sprzeciwu Paryża i Berlina – nie udało się objąć Ukrainy i Gruzji specjalnym programem przygotowującym do członkostwa w Sojuszu (MAP). Musiało to być niezwykle frustrujące dla strony amerykańskiej, w końcu lidera



i najsilniejszego państwa członkowskiego Paktu. Ale o słabszej kondycji organizacji, uchodzącej dotychczas za najbardziej skuteczną, stanowiącą fundament bezpieczeństwa jej członków, świadczyły niepowodzenia misji w Afganistanie. Pomimo wojskowego zaangażowania większości państw NATO (i nie tylko), ogromnych nakładów finansowych i ponoszonych ofiar nie udało się pokonać talibów i przywrócić stabilizacji. Zresztą problemem dla Waszyngtonu była powszechna niechęć państw sojuszniczych do zwiększania liczebności swoich kontyngentów wojskowych w Afganistanie. W efekcie powszechne stały się sądy, że NATO – „po Bushu” - znalazło się w krytycznej sytuacji: z osłabionym przywództwem amerykańskim, trudnościami militarnymi, brakiem wyraźnie sformułowanego kierunku działania, z koniecznością zweryfikowania metod i środków zwalczania głównych zagrożeń.

A zatem od nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych należało oczekiwać wypełnienia nową treścią wspólnoty atlantyckiej, nadania impulsu do opracowania nowej koncepcji strategicznej NATO. Konieczne było przede wszystkim zredefiniowanie obecnej roli Sojuszu, określenie charakteru wewnętrznych relacji, wytyczenie celów, zasięgu, metod i kierunku działania. Problem to tym bardziej palący, że poprzednia koncepcja strategiczna przyjęta została w 1999 r. Od tego momentu wydarzyło się tak wiele, zaszły zasadnicze zmiany na arenie międzynarodowej, z nową siłą ujawniły się różne zagrożenia. Tymczasem przez ostatni rok Waszyngton uczynił niewiele, aby te oczekiwania spełnić. Można powiedzieć, że skoncentrowano się na zadaniach bieżących, pozostawiając na boku działania strategiczne, związane z przyszłością Sojuszu, jego zdynamizowaniem i umocnieniem skuteczności.

Te działania bieżące koncentrowały się – rzecz jasna – na sytuacji w Afganistanie, który stał się przykładem swoistej



desolidaryzacji Sojuszu. Pod koniec marca 2009 r. prezydent Obama przedstawił nową strategię wobec Afganistanu, której celem było odwrócenie losów wojny pod Hindukuszem. Miała ona bardziej polityczny niż militarny charakter: proponowano podjęcie negocjacji z różnymi siłami w Afganistanie, w tym z umiarkowanymi grupami talibów (powielenie taktyki, którą z dobrym skutkiem zastosował jeszcze Bush w Iraku), rozszerzenie programu szkolenia afgańskich żołnierzy i policjantów, podjęcie wysiłku na rzecz odbudowy i rozwoju Afganistanu. Trzeba przyznać, że plany te, zwłaszcza dotyczące zwiększenia środków cywilnych i politycznych, spotkały się z życzliwą reakcją sojuszników europejskich.

Ale gdy Obama zaproponował skierowanie do Afganistanu dodatkowych żołnierzy, nie tylko amerykańskich (kilka tysięcy), ale też z państw sojuszniczych (liczył na 4 tys. żołnierzy, policjantów i specjalistów), odzew nie był już tak przychylny. Europa – pomimo niekwestionowanej sympatii dla nowego gospodarza w Białym Domu – okazała się już partnerem trudniejszym i na pewno nie tak spolegliwym jak kiedyś. Tylko z największym trudem udało się uzbierać ów 4 tysięczny kontyngent, składający się zresztą głównie z policjantów i szkoleniowców. Jego obecność nie przyczyniła się jednak do sukcesów w walce z talibami i al Kaidą, co prestiżu Ameryce nie przysporzyło.

Jeszcze słabszy był odzew sojuszników europejskich na kolejną strategię afgańską, ogłoszoną przez Obamę 1 grudnia 2009 r. Stało się to po kilku miesiącach publicznych dywagacji i rozważań nad różnymi opcjami, co nie świadczyło najlepiej o przywódczych zdolnościach Obamy. „Afganistan to nie jest akademickie ćwiczenie intelektualne. To jest sytuacja, która (...) się stale pogarsza. Musimy albo ten trend odwrócić, albo się wycofać. Zwlekanie z decyzją miesiącami jest błędem” –



dowodził John McCain. Jakkolwiek opinia ze strony rywala Obamy w wyborach 2008 r. może być stronnicza, to jednak takich głosów krytycznych było więcej. W każdym razie sens tej krytyki był jasny: moment podejmowania decyzji w sprawach tak poważnych jak wojna jest równie ważny co treść tych decyzji. A Biały Dom zbyt długo się zastanawiał.

Nowy plan wobec Afganistanu zakładał wysłanie kolejnych 35 tys. żołnierzy amerykańskich pod Hindukusz oraz przewidywał zwiększenie kontyngentów innych państw, głównie z NATO. Obama dowodził, że świat musi czuć się odpowiedzialny za tę wojnę. Był to więc kolejny test na solidarność, zwłaszcza atlantycką. Jednak Europa bez entuzjazmu zareagowała na ten pomysł. Wielka Brytania, najbardziej lojalny sojusznik Stanów Zjednoczonych, zaoferowała ledwie 500 żołnierzy, podobnie Turcja. W Niemczech kwestia wysłania kolejnych żołnierzy wywołała debatę publiczną, w której przeważały głosy sprzeciwu. Dopiero 26 stycznia 2010 r. Angela Merkel ogłosiła decyzję o wysłaniu 500 dodatkowych żołnierzy (głównie do szkolenia armii afgańskiej). A Francja, choć jej prezydent chwalił wystąpienie Obamy jako „odważne, zdecydowane i przejrzyste”, żadnych deklaracji nie złożyła. Bardziej spolegliwa była Warszawa, deklarując wysłanie 600 żołnierzy.

A zatem – przynajmniej na obecnym etapie – trudno przesądzić, czy Europa zda egzamin na solidarność atlantycką, lub – i to wydaje się ważniejsze – czy amerykański prezydent zdoła swym autorytetem, umiejętnościami i skutecznością sojusz transatlantycki pozytywnie przetestować, wzmacniając go i nadając mu nowy sens istnienia. Niewątpliwie Afganistan będzie tej wspólnoty transatlantyckiej probierzem. W innym wypadku mogą sprawdzić się przewidywania, o których już dziś głośno w Waszyngtonie. „Obama jest pierwszym naprawdę pozimnowojennym prezydentem USA” – dowodzi R. Kagan. „Nie



łączy wielkich emocji z Europą. [...] Jako człowiek sterujący supermocarstwem, które ma wiele kłopotów, zastanawia się przede wszystkim nad tym, co Europa może zrobić dla niego. A jej znaczenie strategiczne maleje z roku na rok – na jej własną prośbę, z powodu tego, co Europa robi i nie robi np. w sprawach wojskowych” – twierdził autor tezy o pochodzeniu Europejczyków z Wenus i Amerykanów z Marsa.

Podobne opinie o słabnących więzach emocjonalnych między politykami amerykańskimi a europejskimi pojawiały się już wcześniej. Tak pisano o Billu Clintonie, który w przeciwieństwie do wielu poprzednich prezydentów nie wywodził się ze Wschodniego Wybrzeża, tradycyjnie skłaniającego się ku Europie, ale z niewielkiego stanu Arkansas, a większości jego współpracowników bliżej było raczej do Pacyfiku niż Atlantyku. Ale to właśnie Clinton utrzymał silną więź z Europą, realizując m.in. wielki projekt otwarcia NATO na Wschód oraz zbrojnej interwencji Sojuszu w byłej Jugosławii. Dlatego gdy opuszczał Białą Dom, otrzymał zaszczytne miano „Europejczyka”.

Bush junior już na taki tytuł nie zapracował, ale trzeba rzetelnie przyznać, że w czasie drugiej kadencji próbował odbudować stosunki transatlantyckie, konstatując fakt, że nawet najpotężniejsze mocarstwo świata nie jest w stanie samo podolać groźnym wyzwaniom. Starał się odzyskać europejskich sojuszników i partnerów, co udało się w odniesieniu do Niemiec i Francji. „Stłuczono jednak zbyt wiele porcelany”, aby można było mówić o odrobieniu strat. Pozostawił więc układ transatlantycki mocno nadwerżony.

A zatem przewidywania w odniesieniu do Obamy nie były czymś nowym. Jednak nie ma wątpliwości co do tego, że pochodzenie 44. prezydenta USA, którego ojciec wywodził się z Czarnej Afryki i który dzieciństwo spędził z dala od kontynentu



amerykańskiego - w Azji i na Hawajach – automatycznie narzuca inną, (słabszą) niż dotychczas więź emocjonalną z Europą. O bliskich związkach ze Starym Światem decydować będą więc teraz bardziej względy pragmatyczne niż historyczne, uczuciowe czy kulturowe. Myśl tę rozwija Zbigniew Brzeziński pisząc, że „Ameryka będzie mogła działać z Europą, a przede wszystkim słuchać Europejczyków, jeśli będzie miała do czynienia z Europą, której warto słuchać. Musi to zatem być Europa, która posługuje się jednolitym głosem świadczącym o istnieniu jakiejś wspólnej strategicznej wizji”.

Zdaniem Brzezińskiego obiektem takiego wspólnego z Europą działania może być Rosja. Jeśli należałoby wskazać pole, na którym administracja Obamy odcisnęła jakieś spektakularne piętno, to są to relacje z Rosją. Już w lutym 2009 r., podczas corocznej konferencji o bezpieczeństwie w Monachium, ogłoszono nowe otwarcie w stosunkach z Moskwą. „Czas nacisnąć klawisz *reset* i zrewidować wiele obszarów, w którym możemy i powinniśmy współpracować” – oznajmił wiceprezydent Joseph R. Biden. W dzisiejszym świecie prostych konstrukcji słownych określenie *reset* stało się niemalże hasłem, którego realizacji administracja Obamy poświęciła wiele czasu i wysiłku. Ale czy skutecznie i rozsądnie – zdania są tutaj mocno podzielone.

Na pewno kwestia poprawy atmosfery w stosunkach Waszyngton-Moskwa żywo interesowała także europejskich partnerów Ameryki. Wszak powszechne było przekonanie, zwłaszcza w Europie Zachodniej, że na lepszych relacjach Ameryki z Rosją skorzystać mogą wszyscy. Udział Rosji w rozwiązywaniu, ale też komplikowaniu niektórych problemów, a nawet podgrzewaniu atmosfery jest bowiem bezdyskusyjny. Wiadomo było, że Rosja może być pomocna w Afganistanie, w kwestii irańskiego programu nuklearnego, nieodzowna jako



partner w rozmowach rozbrojeniowych START (zwłaszcza że istniejący układ o broni strategicznej obowiązywał tylko do grudnia 2009 r.), a nawet przy rozwiązywaniu konfliktu bliskowschodniego. Trudno też zaprzeczyć, że budowa trwałego bezpieczeństwa w naszym regionie, a także podołanie wyzwaniom globalnym bez współpracy z rosyjskim partnerem będzie jeśli nie niemożliwe, to przynajmniej znacznie trudniejsze. Jednak, choć minął już rok od głośnej deklaracji o „resetowaniu” stosunków z Rosją, administracja Obamy nie może poszczycić się znaczącymi sukcesami. Głównie dlatego, że Moskwa zrobiła niewiele, aby skorzystać z oferty Waszyngtonu.

Ale być może i dlatego, że – jak dowodzą krytycy Obamy – strona amerykańska okazała się zbyt „miękka” dla Moskwy. Tak bowiem wielu komentatorów oceniło fakt rezygnacji przez obecnego gospodarza Białego Domu z projektu tarczy antyrakietowej, której elementy miały być instalowane w Polsce i Czechach. Jakkolwiek trudno zaprzeczyć argumentom natury militarnej i finansowej, które wpłynęły na decyzję administracji Obamy, to jednak nie można zapomnieć o politycznym aspekcie całej sprawy – uwzględnieniu interesów rosyjskich. Wszak plany rozmieszczenia w krajach Europy Środkowo-Wschodniej elementów instalacji amerykańskiej wzbudzały irytację i gniew Moskwy. Gdy więc w przekonaniu Obamy i jego współpracowników Rosja stała się państwem nieodzownym jeśli idzie o przewyższanie wyzwań na arenie międzynarodowej, zdecydowano się na przyjazny wobec niej gest. Ale czy to się opłaciło?

Sukcesu „resetu” raczej nie widać. Nadal nie ma nowego porozumienia START o redukcji arsenałów nuklearnych, w kwestii Iranu są najwyżej mgliste obietnice. Mamy za to ostre wypowiedzi i groźby Władimira Putina, a także ogłaszane przez różnych polityków rosyjskich nowe plany zbrojeniowe, wreszcie



wielkie manewry wojskowe Rosji i Białorusi – Zapad 2009, gdy to ćwiczono odparcie ataku z terenu Polski (sic!) i przejście do kontruderzenia. Moskwa ogłosiła też własne zamierzenia w zakresie bezpieczeństwa i budowy porządku strategicznego, w którym pojawia się pojęcie „niepodzielnego bezpieczeństwa”. Zakłada ono, że Rosja mogłaby każde działanie drugiej strony (NATO, Zachód) – jeśli tak będzie jej wygodnie - uznać za naruszające jej interes lub stanowiące dla niej zagrożenie. Daje ona też sobie prawo do interwencji, jeśli tylko któreś z państw jej strefy wpływów poprosi ją o pomoc.

Wobec tych faktów nie dziwi krytyka, z jaką polityka „resetowania” stosunków z Moskwą spotyka się zarówno w Ameryce jak i Europie. Dość powściągliwie na rosyjski projekt traktatu o bezpieczeństwie europejskim zareagowały stolice europejskie, także decyzja o rezygnacji z budowy tarczy antyrakietowej wywołała żywą reakcję. Najostrzej brzmiały głosy z Europy Środkowo-Wschodniej. Można powiedzieć bez większej przesady, że nadwężenie zaufania do Waszyngtonu w państwach wschodniej i środkowej Europy to jeden z najbardziej jaskrawych przykładów ujemnego bilansu nowej administracji amerykańskiej w relacjach ze Starym Światem. Wszak ten region Europy, leżący na strategicznej granicy z Rosją pragnął silnych więzów z Ameryką i był gotowy do pełnej lojalności oraz spolegliwości wobec amerykańskiego supermocarstwa. Waszyngton nie doceniał jednak ostatnio tego faktu. Bez odzewu pozostał list autorstwa zatroskanych o stan relacji z Ameryką znanych postaci i autorytetów z Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Lecha Wałęsy i Vaclava Havla, skierowany do administracji Obamy w lipcu 2009 r. Potem nastąpiła rezygnacja z tarczy antyrakietowej. Negatywnego rezonansu tej decyzji nie były w stanie już zmienić ani plany zrealizowania innej technologii antyrakietowej, ani kurtuazyjna



podróż wiceprezydenta Bidena do stolic państw środkowoeuropejskich.

Po 12 miesiącach urzędowania Obamy trzeba więc uznać porządek rzeczy, w którym Europa Środkowo-Wschodnia nie stała się żadnym znaczącym partnerem (nawet asymetrycznym) dla Stanów Zjednoczonych. „Z punktu widzenia Ameryki partnerem w relacjach może być tylko Europa jako całość. Przedstawiciele państw Europy Środkowej nie powinni przyjeżdżać do Waszyngtonu, aby dawać upust swoim lękom” – przekonuje brutalnie Z. Brzeziński, pełniący tradycyjnie rolę adwokata tej części Europy. Musi być w tym sporo racji, choć brzmi to dla nas mało optymistycznie.

Rzecz jasna, nic nie zostało przesądzone. Wszak Bill Clinton na początku swego urzędowania nie dostrzegał woli państw naszego regionu, które zabiegały o członkostwo w NATO. Jemu również przez dłuższy czas bliżej było do Rosji, z którą chciał budować „strategiczne partnerstwo”. Trzeba mieć nadzieję, że choć szefem amerykańskiej dyplomacji jest dzisiaj żona byłego prezydenta Clintona, to jednak Europa Środkowo-Wschodnia potwierdzi w optyce amerykańskiej swą rolę ważnego komponentu układu transatlantyckiego. Przecież chodzi nie tylko o danie satysfakcji państwom tego regionu Europy, ale docenianie czynnika służącego umocnieniu rangi i znaczenia całego sojuszu transatlantyckiego, nadaniu mu większej skuteczności.

Rok urzędowania w Białym Domu to stosunkowo niedługo, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę ogrom problemów zewnętrznych i wyjątkowych kłopotów wewnętrznych, związanych z kryzysem gospodarczym, przed którymi stanęła nowa administracja. Jednak oczekiwania, jakie rozbudził i spotęgował Barack Obama, w niewielkim tylko stopniu zostały zaspokojone. W polityce zagranicznej udało się pozyskać więcej



sympatii dla Ameryki, zmienić jej wizerunek. Jeśli jednak za tym nie pojawi się większa skuteczność na arenie międzynarodowej, spójna strategia w wielu kwestiach, a zwłaszcza zdynamizowanie sojuszu transatlantyckiego, łącznie ze stworzeniem nowej strategii dla NATO, nadaniem mu sensu istnienia, to i kolejne lata prezydentury Obamy będą kończyć się ujemnym bilansem. Potrzeba więcej odwagi, determinacji i skuteczności, mniej naiwności, retoryki i samouwielbienia.





Nr 32 / 2009

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-
Badawczy,
Poznań

ul. Mostowa 27 A,
61-854 Poznań,
tel. 061/852 76 91,
fax 061/852 49 05,
e-mail: izpozpl@iz.poznan.pl,
www.iz.poznan.pl



CZASOPISMA INSTYTUTU ZACHODNIEGO:

- „Przegląd Zachodni”
- „WeltTrends. Zeitschrift für internationale Politik”
- „Siedlisko. Dziedzictwo kulturowe i tożsamość społeczności na Ziemiach Zachodnich i Północnych”
- „Biuletyn Instytutu Zachodniego”

NOWOŚCI WYDAWCZNICZE INSTYTUTU ZACHODNIEGO:

- Moje Niemcy – moi Niemcy. Odpominania polskie, red. H. Orłowski, Poznań 2009;
- K. Malinowski, Przemiany niemieckiej polityki bezpieczeństwa 1990-2005, Poznań 2009;
- M. Rutowska, Lager Głowna. Niemiecki obóz przesiedleńczy na Główniej w Poznaniu dla ludności polskiej (1939-1940), Poznań 2009;
- Transformacja w Polsce i Niemczech Wschodnich. Próba bilansu, red. A. Sakson, Poznań 2009;
- Ślężacy, Kaszubi, Mazurzy i Warmiacy – między polskością a niemieckością, red. A. Sakson, Poznań 2008;
- B. Koszel, Polska i Niemcy w Unii Europejskiej. Pola konfliktów i płaszczyzny współpracy, Poznań 2008;
- P. Cichocki, Wybrane problemy badań nad tożsamością europejską, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 53/2009;
- B. Koszel, Integracja Turcji z Unią Europejską z perspektywy RFN, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 52/2009;
- I. Romiszewska, Banki niemieckie w Unii Europejskiej, „Zeszyty Instytutu Zachodniego: nr 51/2009, Poznań 2009;
- J. Kiwerska, Osłabione mocarstwo. Pozycja USA w świecie po ośmiu latach prezydentury George’a Busha, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 50/2008, Poznań 2008;
- P. Kubiak, Początki wielkiej koalicji w Niemczech (2005), „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 49/2008, Poznań 2008;
- M. Götz, Czynniki wzrostu gospodarczego związane z wiedzą. Niemcy na tle Unii Europejskiej, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” nr 48/2008, Poznań 2008.